NASZ ŚWIAT

TYGODNIK

DLA NASZEJ MŁODZIEŻY

(BEZPŁATNY DODATEK DO „GAZETY MAZURSKIEJ").

Nr. 35 i 36 WARSZAWA-DZIAŁDOWO, WRZESIEŃ 1930 R ROK II.

Barbarzyństwo hakatystów wschodnio-pruskich.

W czerwcu r. b., jak to nasi Czytelnicy wiedzą, młodzież mazurska z za kordonu zwiedziła Polskę. Zajechali nasi mili bracia i siostry na Śląsk Cieszyński, gdzie mieszka ludność polsko-ewangelicka. Z wielką radością witali Ślązacy cieszyńscy młodzież mazurską. Któż może być bliższy naszym polskim ewangelikom z Mazur, jak nie ewangelicy polscy ze Śląska cieszyńskiego: tę samą Dąbrówkę czytają, te same pieśni śpiewają, ta sama wiara ich łączy, ten sam język macierzysty. W szczególności radzi byli gościom z Prus Wschodnich Ślązacy z za czesko-słowackiej granicy. Nic więc dziwnego, że młodzież śląska z Czechosłowacji postanowiła odwiedzić braci Mazurów w Prusach.

Dwunastu młodzieńców z ks. pastorem Trombikiem, prefektem gimnazjalnym z Orłowej, wybrało się w drugiej połowie sierpnia na Mazury. I oto co się stało. Młodzieńców tych napadła w Szczytnie, w hotelu, banda opryszków niemieckich. Wyważyli drzwi i zaczęli pałkami gumowemi obijać Ślązaków. Niejakiego Czyża obili do krwi, tak, że stracił przytomność. Nie dość tego. Wezwany lekarz nie chciał przyjść, aby opatrzyć rannego. Policjant, którego sprowadzono, bardzo niegrzecznie potraktował uczestników wycieczki, nie aresztował nikogo z napastników, a konsul honorowy czechosłowacki, Niemiec z Królewca — kiedy ks. pastor Trombik zwrócił się o opiekę, — odpowiedział, że go to nic nie obchodzi. Młodych Ślązaków zmuszono do opuszczenia kraju mazurskiego.

Jak nazwać takie postępowanie? Czy brakiem kultury, czy barbarzyństwem? Gdzie to w innym braju ludzie są tak okrutni, że bezbronnych gości napadają, biją i zbezczeszczają? Gdzie poczucie miłości bliźniego, gdzie etyka chrześcijańska? Wiemy, że kiedy harcerze polscy, jadąc do Anglji, zatrzymali się na kilka godzin w Berlinie (od jednego pociągu do drugiego), to przebywali pod osłoną policji, która broniła ich od wybryków publiczności. Niemcy zwykli mówić: „Wo sich aufhört die Kultur, da fängt zu leben an Masur". — Mazurom cichym, zacnym i gościnnym wymawiają brak kultury, a jak wygląda ich kultura?

❧ ❧ ❧

Odnalezienie zwłok pierwszego podróżnika balonem do bieguna północnego.

Na wyspie Viktoria, w pobliżu kraju Franciszka Józefa, ekspedycja naukowa znalazła zwłoki szwedzkiego badacza okolic podbiegunowych, inż. Salomona Augusta Andreego, który w roku 1897, wraz z dwoma towarzyszami, wystartował w balonie z góry Spitzberg i zamierzał dotrzeć do bieguna północnego. Od tego czasu wszelkie ślady po nim i jego towarzyszach zaginęły.

Zwłoki uczonego, z powodu niskiej temperatury, doskonale się zachowały. Zostaną one prawdopodobnie przewiezione do Szwecji w najbliższej przyszłości.

Andree był z zawodu inżynierem. Urodził się on w roku 1854 w Grenie, w Szwecji. Studja techniczne ukończył na politechnice w Sztokholmie. Po ukończeniu studjów rozpoczął prace na polu awjatyki, owocem której było kilka próbnych lotów na Gotland i do Finlandji.

W roku 1895 Andree wpadł na myśl dotarcia do bieguna północnego balonem. Przez dwa lata przygotowywał się do tej podróży i w roku 1897 dnia 30 czerwca wystartował do podbiegunowego lotu, z którego już nie powrócił.

Śmiałemu podróżnikowi towarzyszyło w podróży dwóch przyjaciół: Fränkel i Strindberg.

Nowe teorje naukowe o Marsie.

Wśród ostatnich badań astronomicznych istnieje wiele wysiłków, poświęconych Marsowi, tej planecie, która podnieca tak bardzo ludzką ciekawość przez swoją bliskość i wielkie do ziemi podobieństwo. Mars posiada bowiem powietrze, wodę, wegetację roślinną, dobę 24-godzinną i temperaturę dosyć do naszej podobną. Ale są też i znaczne różnice. Na Marsie niema gór.

Wobec tego nie było tam nigdy epoki lodowej, a co zatem idzie, trudno przypuścić, aby tam istniały jakieś stworzenia, posiadające to, co człowiek nazywa inteligencją. Wogóle niepodobna odkryć na Marsie jakichkolwiek śladów istot rozumnych.

„Najbardziej oczywistą oznaką inteligencji na Marsie—twierdzi astronom amerykański, dr. Clyde Fisher — byłyby jakoweś ślady sztucznego światła".

Nasze olbrzymie współczesne teleskopy widziałyby tam niewątpliwie łunę, bijącą od miast wielkich, gdyby te miasta istniały.

Tak więc słynne kanały na Marsie, odkryte przez astronoma Lowellsa, okazały się dowolnym wnioskiem, przez naukę współczesną obalonym.

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa te wielkie, proste linje, które tam dostrzegamy, to nie są bynajmniej sztuczne nawodnienia, lecz szerokie i płytkie doliny rzek. Zupełny brak życia ludzkiego na Marsie potwierdzają również nowoczesne teorje biologiczne. Człowiek i jego umysłowość

są produktem epoki lodowej, tego okresu powszechnego ciśnienia i współzawodnictwa na ziemi, okresu, który antropoidalnych przodków naszych w ludzi przemienił. Ponieważ na Marsie epoki lodowej nigdy nie było — jak twierdzi biologja—nie może tam istnieć życie ludzkie na wyższym poziomie. Wedle tego mniemania Mars nie wyszedł jeszcze z okresu zwierzęcego instynktu. Jeśli szukać ziemskich podobieństw, to w chwili obecnej istnieją na Marsie tylko ryby, dalej najrozmaitsze gady, oraz zwierzęta w rodzaju szczurów, wiewiórek i bobrów. Jednem słowem życie na Marsie znajduje się obecnie w fazie przemiany istot zimnokrwistych na ciepłokrwiste.

Mars jest planetą, odznaczającą się bardzo powolną ewolucją (przemianą) i dlatego został daleko w tyle za naszą ruchliwą i pełną niespożytej energji Ziemią.

Wedle niektórych przypuszczeń naukowych, najpowszechniejszym mieszkańcem dzisiejszego Marsa jest stworzenie, podobne do ziemskiego bobra. Może on bowiem żyć z łatwością na marsowych lądach i wodach. Posiada grube futro, które go chroni od dotkliwego zimna, które panuje wśród nocy na tej planecie. Posiada oczy większe od ziemskiego krewniaka, albowiem światło słoneczne nie jest na Marsie, tak, jak u nas, silne. Mniejsze ciśnienie wykształciło większę ciała, a wskutek małej ilości tlenu, jego pierś musi być większa, a oddychanie bardziej szybkie.

Niewątpliwie wyobrażenie sobie takich mieszkańców na Marsie jest fantazją naukową, fantazją jednak o wiele bardziej usprawiedliwioną, niż bajeczki o rozumnych stworzeniach, które, przy pomocy olbrzymich maszyn, zbudowały na tej planecie olbrzymie kanały i które już nawet postanowiły zorganizować zaborczą na Ziemię wyprawę.

MŁODY AMERYKANIN.

OPOWIADANIE.

„Siłą woli i odwagą można wszystko pokonać".

I.

Kiedy zaczęły powstawać osady z tamtej strony Gór Skalistych, Ryszard Garry zawarł z niemi umowę, że będzie dostarczał do następnego posterunku pocztę raz na miesiąc drogą, idącą koło Źródła Czarownic, przez przełęcz górską, liczącą 50 kilometrów. Na całej tej przestrzeni nie było ani jednej ludzkiej osady.

W grudniu 18... roku, gdy przed świętami przywieziono ostatnią pocztę i trzeba było wieźć ją dalej, do osadników za górami, Garry czuł się chory i nie mógł sam wyruszyć tak daleko.

— Słuchaj, Ben! — rzekł do swego piętnastoletniego siostrzeńca. — Trzeba odwieźć Scottowi pocztę świąteczną, — czekają na nią ludziska. Ja iść nie mogę. Ty pójdziesz.

— Dobrze, wuju! — rzekł Ben.

Uradzono wszystko, jak się należy. Ben miał wyruszyć o świcie z wielką torbą pocztową, zapasem żywności, łyżwami, siekierą i futrzanym workiem do spania, złożonemi na saneczkach, a ważącemi razem około 40 kilogramów. Strzelbę miał na plecach, rewolwer za pasem z jednej

strony, nóż z drugiej, rzemienne pasy od sanek, skrzyżowane na piersiach i psa u nogi.

— Ben! — upominał go stary — bądźże ostrożny, chłopcze, i dostaw wszystko w porę. Możesz przecie dojść tam za cztery dni!

— Niech wuj będzie spokojny, poczta dojdzie na czas, jeżeli góry się na nas nie zwalą, — prawda, Liściku?

Liścik był to niewielki pies owczarski Ryszarda Garrego Na pytanie odpowiedział szczekaniem.

— Bywajcie zdrowi. Śnieg jeszcze nie głęboki. Będziecie mieli dobrą drogę. Szczęśliwej podróży! Bywaj zdrów, Liściku — mówił wuj.



Krajobraz amerykański.

Liścik podbiegł i z wielką powagą podał łapę na pożegnanie, a po dopełnieniu tej ceremonji pocztmistrz patrzał za nimi tak długo, dopóki mu nie zniknęli z oczu za wzgórzem.

Nazajutrz Ben doszedł wcześnie przed wieczorem do Źródła Czarownic. Było to miejsce zwykłego odpoczynku. Tuż przy źródle stał szałas z chróstu, a w nim zapas rąbanego drzewa. Pozostawało już tylko 42 kilometry do przebycia, a czasu na to całe dwa dni. Ben zmęczony, rozpalił ogień, zjadł wieczerzę, urządził posłanie i usnął z Liścikiem, leżącym u jego nóg.

W nocy Liścik zaczął wyć i łapami uderzać pana po piersi. Przez cały wieczór dwie pantery odzywały się w pobliżu, ale była to rzecz tak

zwykła, że nie zaniepokoiła Bena ani psa. Zgziwiony, że go pies obudził, Ben wziął strzelbę i wyszedł z szałasu.

Ogień prawie wygasły tlił się tuż przy samej ścianie parowu, do którego dochodziło zaledwie słabe światło księżyca.

Ben, uszedłszy parę kroków, ujrzał nagle jelenia, który zapewne przyszedł napić się do źródła. Myśliwski duch wnet się w nim odezwał.

— Wracając, zabiorę go do domu na święta — rzekł do siebie.

Wycelował i strzelił, lecz mierząc już, zobaczył uszy pantery, sterczące nad brzegiem parowu.

II.

Jeleń ugodzony, padł na miejscu, a jednocześnie wielkie cielsko zwierzęcia, podobnego do kota, spadło z góry na Bena, który runął na śnieg, przygnieciony tym ciężarem.

Otrzeźwiawszy, spojrzał i zobaczył panterę z łapą, opartą na jego nodze. Zamiast chwycić go za gardło, nawoływała swego towarzysza i śledziła Liścika, który biegał wokoło, szczekając zajadle na panterę i grożąc jej napaścią.

Nagle pies skoczył i chwycił panterę za ogon. Pantera, parskając, zwróciła się ku niemu. Ta jedna chwila wystarczyła Benowi. Wyciągnął w mgnieniu oka rewolwer i strzelił jej w łeb. Próbował się podnieść, gdy wtem druga pantera dała susa i rzuciła się na psa ale padła też, ugodzona kulą w serce.

Poruszywszy się, Ben uczuł srogi ból w prawej nodze. Nie mógł się podnieść, tylko przyczołgał się do zabitej pantery i usiadł na jej cielsku, żeby obejrzeć swoje rany. Kość w nodze między kostką a kolanem była złamana, ubranie poszarpane, a na lewem ramieniu i ręce były długie, głębokie rany. Siedział chwilę, rozmyślając sobie:

— Co robić? Przez jakie dwa tygodnie nie będę w stanie chodzić,— może nawet miesiąc, a poczta powinna dojść pojutrze... Najbliższa pomoc o dwa dni drogi. Co robić? Najpierw trzeba opatrzyć nogę, potem zabrać jelenia na zapas. Na szczęście jest tyle porąbanego drzewa. Myślę, że trzeba będzie siedzieć tu dotąd, dopóki nie wyzdrowieję, jeżeli nie przyślą kogo na zwiady, gdy poczta nie nadejdzie na czas.

Przyczołgał się do zarośli i wyciął sześć mocnych, płaskich kawałków drzewa, któremi obłożył złamaną nogę, a wyrównawszy kości, obwiązał wszystko chustką. Dopełznąwszy do szałasu, odciął długi kawał sznura od sanek i całą nogę mocno zasznurował. Poobmywał rany na ramieniu i posmarował tłuszczem, rozgrzanym nad ogniem. Toporkiem uciął dwie zakrzywione tyczki, a zawiesiwszy złamaną nogę na sznurze, uczepionym na ramieniu, zaczął posuwać się zwolna, oparty na tyczkach, jak na kulach.

Dowlókł się w ten sposób do zabitego jelenia, obciągnął go ze skóry, pokrajał i z pomocą Liścika zawlókł do szałasu. Ponieważ robił to wszystko po dobrem opatrunku złamania i ran, więc nie odczuwał bardzo wielkiego bólu.

Na tej robocie zeszła mu cała noc. Rankiem zjadł śniadanie, ale rany zaczęły się zaogniać i ból go obezwiadnił. Pomimo to, wyczerpany cierpieniem, przespał kilka godzin.

Kiedy się obudził w południe, złamana noga bardzo opuchła i bolała mocno. Rany na ramieniu bolały też i paliły niemiłosiernie.

Cztery dni minęły w ten sposób. Nieustający ból, uczucie opuszczenia i bezsilności, zimno, wilgoć, bezsenność, ciągły niepokój — dręczyły chłopca narówni z troską o niedoręczone listy.

Minęły już dwa dni od chwili, kiedy poczta powinna była nadejść, i Ben zaczął się spodziewać, że osadnicy wyślą kogo na zwiady, zaniepokojeni nieotrzymaniem listów i posyłek na gwiazdkę.

Dotąd pogoda była niezła, a Liścik wesoły; szczątki jelenia i panter składały się na biesiadę, z której korzystał dowoli.

III.

Piątego dnia zaczęła się wielka zawierucha, śnieg padał gęsty, a wicher miotał tumanami o skaliste ściany parowu i zasypywał go śniegowemi wałami.

Na szczęście szałas i źródło były pod ochroną ściany, wzdłuż której szła wąska drożyna.

Śnieżna zawierucha zawiodła nadzieję rychłej pomocy. Nikt nie wybrałby się na zwiady podczas takiej niepogody. Po trzech dniach zerwała się burza z deszczem i gradem, poczem złapał mróz i śnieg pokrył ziemię lodową skorupą.

— Gdyby tak posłać wiadomość przez psa?—pomyślał nagle Ben. — On przecież nieraz chodził z listami.

Rozgrzał w ogniu kolec od klamry i wypalił na kawałku drzewa następujące słowa:

„Gwiazdkowe listy przy Źródle Czarownic. Złamana noga. Przyślijcie pomoc. Garry“.

Papier mógł rozmoknąć, a kawałek drzewa pewniejszy. Ben przywiązał go Liścikowi na szyi i zaczął psa uczyć, co ma uczynić.

Nareszcie nad wieczorem zawiązał drewienko w kawałek płótna, włożył w pysk Liścika i powiedział:

— Idź, Liściku! Idź do Scotta! Zanieś do Scotta! do Scotta! — sam!

Scott był to pocztmistrz, który miał odebrać posyłkę. Liścik go znał. Zasmucił się bardzo i jakby namyślał się chwilę, a potem położył paczkę na ziemi i wyciągnął łapę na pożegnanie. Ben uścisnął go za łapę i pożegnanie:

— Bywaj zdrów! Idź do Scotta!

Liścik podniósł zawiniątko, zaskowyczał żałośnie i ruszył szybko w drogę brzegiem parowu.

Upłynęła godzina — dwie — trzy — pies nie wracał. Ale czy wytrwa całe 25 kilometrów? Czy uniknie niebezpieczeństwa w drodze?

Kiedy minęły dwa dni i dwie noce, a pomoc nie nadchodziła, Ben zaczął się obawiać, że może Liścik zginął, i postanowił wyruszyć nazajutrz sam w drogę.

— Kość się już zrosła, — pomyślał, opatrzywszy nogę. — Nie mógłbym się na niej oprzeć, ale mogę iść na kulach, na jednej nodze. Będę ciągnął sanki z torbą pocztową, bo listy muszą dojść do rąk osadników.

Z tem mocnem postanowieniem zasnął głęboko. W nocy obudziło go coś padającego na jego ciało. Zerwał się, chwytając za rewolwer.

— Liścik! — zawołał Ben zdziwiony.

Pies szczekał, skakał, tarzał się po ziemi, stawał na tylnych łapach, podawał przednie łapy do uścisku i objawiał radość na wszelkie psie sposoby. Ale Ben zauważył, że kuleje. Rozjaśniwszy ogień, spostrzegł, że Liścik jest boleśnie poraniony i mocno zmęczony. Widocznie musiał przed paru dniami stoczyć walkę z jakiemś dzikiem zwierzęciem. Ale drewienka u szyi nie było; zapewne je Liścik zgubił.

Ben nakarmił psa i położyli się obok siebie. Zaledwie zaczęło świtać, Liścik zerwał się, szczekając, i pobiegł drogą nad strumieniem Jego szczekanie słychać było w oddali, a potem ktoś odezwał się głośno:

— Hej! hop!

Liścik ukazał się po chwili, wiodąc z dumą trzech osadników.

Ben był ocalony... *M. G.*

Złoto i żelazo.

BAJKA.

Dukat, świetnem pyszny złotem,
Pod twardym jęczący młotem,
Tak na swe losy narzekał:
— Czegożem ja się doczekał?
Ach, jaką to dla mnie skazą
Być gnębionym przez żelazo,
Przez kruszec podły i twardy!
— Chciej powściągnąć ton swój hardy, —
Młot na dukata zawoła:
— Nikt tego zmienić nie zdoła,
Nikt tej prawdy nie ukryje,
Iż żelazo złoto bije.
Póki żelazo będziemy posiadać,
Umieć, jak pługiem i orężem, władać,
A cnota z męstwem będą kraju stróże:
Obca nas chciwość nigdy nie przemoże.

J. U. Niemcewicz.

Rady praktyczne.

Nieodpowiednie hartowanie dzieci. W porze letniej wiele rodziców zaczyna gwałtownie „hartować“ dzieci, zmywając je zimną wodą. To samo robi i młodzież starsza, tak chłopcy, jak i dziewczęta, „hartując“ się samodzielnie. Należy pamiętać, że wszystkie tego rodzaju zabiegi powinny być wykonywane z największą ostrożnością, inaczej mogą stać się przyczyną wielu chorób. Dzieci wątłe i nerwowe zbyt silnie reagują na nieprzyjemne wrażenie, które wywołuje zlanie zimną wodą. Przez częste, bezwzględne powtarzanie tego zabiegu można dzieci doprowadzić do choroby nerwowej, nie mówiąc już o tem, że nie mogą one dość szybko odtworzyć straconego ciepła i zużywają na to substancję odżywczą, przeznaczoną do tworzenia tkanki. Wskutek tego chudną jeszcze bardziej i stają

się mało odporne na wszelkie choroby. Dzieci silne słabiej reagują na zimną wodę i łatwiej znoszą szkody, jakie wyrządzają zimne kąpiele i nadmierna gimnastyka. I tu jednak nie można powiedzieć, by kąpiele takie, lub nadmierna gimnastyka, były pożyteczne. O wiele lepszym środkiem do hartowania dzieci, niż zimna wodą i męczące ćwiczenia gimnastyczne, są kąpiele słoneczne i powietrzne, oraz umiarkowany spacer dla nabrania ruchu w celu równomiernej cyrkulacji krwi. Dzieci, w przeważnej części, takie kąpiele i spacer bardzo lubią, nawet zimą, i nie podlegają podczas tych zabiegów niepotrzebnym wstrząsom nerwowym.

SPORT.

Polskie osady zdobywają wszystkie pierwsze miejsca. Polskie osady wioślarskie, które spisały się tak dzielnie na mistrzostwach świata w Liège, w Belgji, wyjechały na międzynarodowe Regaty do miasta Antwerpji, w Belgji. Polskie osady zdobyły wszystkie pierwsze miejsca, uzyskując zaszczytne wyniki, które przedstawiają się następująco: W biegu dwójek ze sternikiem zwyciężyła osada włocławska o długość łodzi przed Francją, Belgją i Holandją. W biegu ósemek wygrała o pół długości łodzi osada Klubu Wioślarskiego „04“ z Poznania przed Belgją i Francją i wreszcie w biegu czwórek ze sternikiem zwyciężyła znowu osada najsilniejszego polskiego Klubu „04“ z Poznania o 2 sekundy przed osadą Holandji, oraz przed osadami Belgji i Francji.

Żarciki.

Zbieracz osobliwości.

— Odwiedziłem wczoraj znajomego kolegę — mówi Janek do przyjaciela. — Gromadzi on różne osobliwości. Między innemi pokazał mi żółwia, którego niedawno kupił.

— A po co ci to gadzisko? — pytam go.

— Powiedziano mi — odrzekł on — że takie bydlę żyje podobno tysiąc lat. Chcę więc sprawdzić, czy to prawda.

Zagadki mazurskie.

Ze zbioru Kółka Krajoznawczego Młodzieży przy Państwowem Seminarjum Nauczycielskiem w Działdowie.

Co to jest?

1) Bez nóg, a wszędzie wlezie, do łez pobudza i gryzie.
2) Jeszcze się ojciec nie urodził, a syn już po świecie chodził.
3) Ma zęby, a niema gęby, je cały dzień, a cienka, jak pień.
4) Leży panna w bróździe w okowanej uździe.

Rozwiązania z Nr. Nr. 33 i 34 „Naszego Świata“: Łamigłówki: „Kruki“. 1) Kozy. 2) Ryba. 3) Uszy. 4) Koty. Szarady: Ból—Mól—Sól.

Druk. L. Mioduszewskiego w Warszawie, Złota 45 tel. 147-94.